Rozmaitości

Dnia 1. Czerwca **Nr 22.** 1839 Roku.

ZNAMIĘ
MACIERZYSTE.
Obraz wojny z r. 1813.

(Dokończenie.)

Sierzant Etienne musnąwszy poważnie po swoim wąsie chciał mu odpowiedzieć.

Téj saméj chwili pewien stary saski artylerzysta, zajęty strzelaniem z działa ustawionego w bateryi ogrodowéj, obróciwszy się do Frydéryka, rzecze: »Młody przyjacielu, ty masz lepsze oczy, niż ja; pojrzéj téż w ową stronę ku wzgórzu Reknickiemu; dészcz i mgła nie dają mi dobrze dostrzédz; ale jeżeli się nie mylę, stoi tam w kupie razem kilkunastu jeźdzców, będąto zapewne oficerowie, bo czaty stoją w głębi, a na szwadron jest ta grupa za mała.«

Frydéryk przylęgłszy na rozpalonéj armacie i przytknąwszy do oka podany sobie dalowid, wyciągnął szyję, i patrzył wytężonym wzrokiem ku oznaczonemu wzgórzu.

»Jeżeli mnie bystry wzrok mój nie zwodzi, sądzę, żeś dobrze widział,« rzekł do starego puszkarza. »Widzę tam tylko kilku jeźdzców, którzy żywo ze sobą rozmawiają, i zdają się naradzać nad obrotami wojska, albowiem to tu, to tam ręką wskazują.«

»A więc możnaby ku temu wzgórzu posłać kulę działową,« odmruknął stary puszkarz obojętnie, i kierując działo celował ostro ku owéj kupie jeźdzców, która pośród mgły tylko się w słabym odznaczała zarysie.

Z uwagą patrzył Frydéryk z sierzantem na skierowaną armatę. W tém to słowo: »Pal!« słyszeć się dało. Z przytłumionym hukiem, jakby piekielny duch uwolniony z czartowskiego zaklęcia, wyleciał wystrzał z działa, a łoskot jego rozchodził się jeszcze w powietrzu, gdy na wzgórzu Reknickiém pośród owéj grupy wielka zmiana widzieć się dała. »Diabeł z ciebie,« rzekł Etienne do starego puszkarza, »tak ostro bijesz z działa, jak gdyby z jakiéj rusznicy. Kula przeszła tuż po nad sam wierzchołek wzgórza, ugodziła niezawodnie, bo widać całą grupę zburzoną.«

»Jednéj postaci już nie widać,« rzekł Frydéryk patrząc przez piąstuk, »drugie rozskoczyły się. Teraz znowu się zbliżają ku miejscu, z którego je kula spędziła. Na ziemi coś się rzuca, zapewne koń ugodzony. Ale dla samego konia nie powinnoby być tak wielkie zamieszanie; zdaje się, że i jeździec także jest ugodzonym. Teraz jeszcze więcéj postaci się zbliża; widać, że umyślnie koło formują, zapewne rannego otaczają. Teraz kilku z nich puszcza się w rozmaite kierunki. Zdaje się, że to są oficerowie służbowi, którzy z ważną i smutną wiadomością na różne stanowiska spieszą. Ręczę, że kula ta jakiegoś znakomitego oficera ugodziła... Do wszystkich diabłów! Teraz wiatr wszystek dym popędzi w tę stronę. Nic już widzieć nie można.« Jeszcze przez kilka chwil zabawiali się żołniérze różnemi domysłami i wychwalali puszkarza, który tak doskonale wymierzył. Byłto stary, mrukliwy zawedyja, nie odpowiadał na ich pochwały i z pośpiechem nabijał swoje działo. Po niejakim czasie żołniérze o innych rzeczach rozmawiać zaczęli.

W godzinę poźniéj wszedł z pośpiechem westfalski żołniérz do działobitni. »Ważną« rzekł »przynoszę wam wiadomość, która, co się dotyczé obléżenia, może wielkie za sobą pociągnąć skutki.«

Na te słowa wszyscy obecni otoczyli żołniérza. »Powiédz, jaką wiadomość?« zapytali go prawie wszyscy razem.

»Jenerał Moreau poległ na wzgórzu Reknickiém. Kula puszczona z jednéj z naszych działobitni oderwała mu obiedwie nogi. Jeszcze dotychczas żyje, ale najdaléj za godzinę już po nim będzie. Pojmany Rossyjanin, któremu dobre obejście się przyrzeczono, udzielił mojemu porucznikowi téj ważnéj wiadomości.«

»To była moja kula!« mruknął stary puszkarz, wkładając z flegmą nowy ładunek w działo.

»Tak w saméj rzeczy,« odezwali się drudzy, »to była jego kula, która jenerała Moreau zgładziła.«

»Pójdź tu, niech cię uściskam starcze,« rzekł Etienne do puszkarza, »dokonałeś wielkiego dzieła; bo mówią, że jenerał ten był duszą całego oblężenia. Kula twoja jest bardzo wielkiéj wagi.— »*Vive l'Empereur!*« zawołali obecni Francuzi. »Jestto dzień nieszczęścia; Moreau byłto rzadki człowiek. Może Francyja nie miała większego męża, chociaż zła gwiazda, jego przymusiła go walczyć przeciw swojéj własnéj ojczyznie. Tak tedy poległ już i ten Pompejusz wielki, który się naszemu dumnemu Cezarowi opierał. A przecież nam droga jeszcze nie jest otwarta. Okrzyk tego zwycieztwa zdaje się mi być głosem śmierci. Lodowate stepy rossyjskie zdają się jak złowieszcze duchy zaglądać na to bojowisko, na którém się za zwycięzców mamy.« To rzekłszy zanurzył się w dumaniu, jak gdyby obraz nadchodzących dni i upadającéj wielkości przesuwał się przed okiem jego. Poczém pociągnąwszy wódki z manierki obwinął się płaszczem i położył się na ziemi.

»Nieprzyjaciel opuszcza wzgórza. Nie dawać już ognia!« oznajmił z pośpiechem oficer służbowy. »Wysileni niech odpoczną. Ale kto z was zdrów i na siłach, niech idzie za mną. Wkrótce dobywać będziemy wzgórza Dölcszen.«

Frydéryk usłyszawszy to, niepomny na swoje rany, wziął karabin do ręki i pośpieszył za oficerem. Etienne, chociaż poprzedniego dnia pałaszem nieraz cięty, udał się za nim kulejąc i przeklinając swoje niezgrabne, zbolałe nogi. Do tego orszaku przyłączyło się także kilku innych żołniérzy. Czas popołudniowy wyznaczono im do wytchnienia. W tym przeciągu odwodowe wojsko jazdy francuzkiéj, dywizyja Latour-Maubourg w piętnaście tysięcy ludzi, pod dowództwem samego Murata, od Frejberskiego gościńca przypuszczała atak na nieprzyjacielskie stanowisko pod Gorbic. Sascy kirasyjery natarłszy z zaciekłością i niewstrzymanym pędem przełamali czworobok; francuzcy kirasyjery zaś i dragoni dokonali téj klęski.

Skoro tém zwycięztwem wyparto z stanowiska nieprzyjaciela, francuzka piechota przypuściła szturm ku wzgórzom włości Dölcszen. Rzucono granaty, cała włość buchnęła płomieniem, a wtedy przez gruzy, trupy, rumowiska i gorejące belki uderzono z bagnetem na nieprzyjaciela, który z rozpaczą i zaciętością się bronił.

Jak gdyby w otchłani piekła między jego mieszkańcami wojna powstała, tak się łamał mąż z mężem pośród włości buchającéj płomieniem i kłębami czarnego dymu. Włościanie pożarem i okropnością wojny wylęknieni, częstokroć zamiast w miejsce ochrony, w najzaciętszy bój wbiegali. Zgiełk oręża, chrzęst zbroi, tętent koni, trzask gorejących domów, łomot upadających dachów, krzyk rozkazujących naczelników, wrzawa walczących i huk pojedyńczych wystrzałów, wszystkoto formowało harmoniję piekielną.

Frydéryk już był oswojony z tym okropnym żywiołem wojny. Mimo pojedyńcze rany, o których pośród zaciekłéj bitwy nie pamiętał, walczył jak lew nieustraszony.

Między nim a nieprzyjacielem, któremu właśnie chciał zadać cios śmiertelny, padł jakiś człowiek na ziemię. Mimowolnie spojrzał on w to miejsce. Byłto Etienne; odbita kula karabinowa ugodziła go w czoło.

»Sierzancie!« zawołał Frydéryk przestraszony; »podobno odniósłeś ciężką ranę. Nie mogę, niestety! wynieść cię z tego miejsca, bo o sześć kroków stoi nieprzyjaciel przed nami, a z tyłu naciskają nasi towarzysze w nieprzebitych kupach.

Etienne drgnął jak zaspany powiekami, z których krew się puściła: »Tyżto młody Moguńczyku?« rzekł do niego. »Poznałem cię po głosie, bo już światła nie widzę.

Zdaje się, że mi kula przez głowę przeszła. Wybiła moja godzina. Bądź zdrów przyjacielu!« To rzekłszy obrócił się cokolwiek na bok, podniósł rękę, aby nią dotknął się czoła, ale zaledwo, że ją podniósł, już bezwładna znowu upadła. Skonał.

»Bądź zdrów towarzyszu!« odrzekł Frydéryk. Nié miał czasu więcéj wymówić, bo z poza gorejącego domu wypadło nań cztérech nieprzyjacioł. Frydéryk, jak gdyby chcąc się pomścić poległego przyjaciela, rozpalony wściekłością, z bronią w ręku rzuca się na nich jak Bryjareusz sturamienny. W kilku chwilach ściele trupem dwóch swoich przeciwników. Gdy oto za jednym razem przeszywa bagnet ramię jego tak mocno, iż mu na chwilę w piersiach bicie serca ustaje i z ręku broń wypada. Lecz Frydéryk upamiętawszy się, z pośpiechem chwyta w lewą rękę drąg, który spadłszy z gorejącego domu, cały był rozpalony, i tylko tyle u jednego końca jeszcze miał miejsca, iż go ręką pochwycić było można. Tém narzędziem uzbrojony rzuca się jak piekielna jędza na nieprzyjacioł, którzy widokiem tym zdziwieni, i na oparcie się takowéj broni nieprzygotowani, na piérwszy jego zapęd pierzchają. Frydéryk goniąc za nimi, rozpalonym drągiem tak potężny cios zadaje w głowę jednemu z nieprzyjacioł, iż ten obsypany iskrami, ogłuszony ciosem i osmalony ogniem jak nieżywy na ziemię pada. Ale w tymże samym czasie drugi nieprzyjaciel uderza go kolbą w głowę, tak silnie, że Frydéryk przytomność traci. Kilkakrotnych ciosów tego rodzaju połączonych z ciosami bagnetowemi, dokonało krwawego dzieła. Bez duszy upadł Frydéryk na tlejące złomy pogorzeliska, a nad poległym srożyła się jeszcze zaciekła walka i huczała nieustająca burza, która wzmagając się, coraz rzęsistsze strumienie dészczu na walczących zlewała.

3.

Wieczorem około godziny piątéj rozstrzygnął się los bitwy. Nieprzyjaciel cofnął się ze wszystkich stanowisk. Napoleon jako zwycięzca, burzą zbity i od dészczu aż do nitki przemokły, odbywał pośród największéj ulewy swój wjazd do miasta. Mały kapelusik całkiem był pognieciony, krysy jego na wskróś wodą przesiąkłe, obwisły, i przylegając do karku, za każdym ruchem konia wybijały takt na potężnych ramionach, które tak długo los Europy dźwigały. Z szarego surduta jego ciekła woda strumieniem; nawet z butów dobywała się górą i spodem. Ale na ustach jego osiadł uśmiéch szyderczy, a na czole jaśniało dumne zadowolenie. Za nim, pośród grzmiącéj muzyki postępowała stara gwardyja, równie jak on dészczem na wskróś przemokła; byłto uderzający obraz patrząc jak wojsko, płonące niepowściągliwą rozkoszą zwycięztwa, ociekłe strumieniami dészczu, śród niezliczonych bębnów i trąb odgłosu za swoim bohatérem dumnie kroczyło.

Ale na polach, w około miasta, jako na miejscu pobojowiska, przedstawiał się obraz najokropniejszy! Ustąpiły obiedwie strony; miejsca te zajęła teraz śmierć i boleść, te uporczywe towarzyszki, wlekące się za wielkiemi, ziemskiemi czynami. Dwadzieścia i trzy tysiące trupów leżało na polu, częścią pojedyńczo, częścią w pomniejszych kupach: przed szańcami zaś i we środku wznosiły się wielkie stosy poległych. Ta széroka przestrzeń podobna była do wielkiego placu tracenia, gdzie mord, ten nielitościwy oprawca dusił, dławił, kaléczył i zabijał dowolnie wszystko, co się mu nawinęło, a potém ofiary swe podług szalonéj fantazyi ślepym trafem w pozornym nieładzie ugrupował. Mała tylko ilość ciężko ranionych, którzy już prawie na pół nieżywi, w konwulsyjnych męczarniach ostatkiem ducha jeszcze ze śmiercią walczyli, ożywiała niejako ten martwy obraz okropności i zgrozy. Połamane działa, potrzaskane wozy i porozrzucana broń wszelkiego rodzaju uzupełniały tę mieszaninę przerażającą, w któréj szydercze dziwactwo śmierci upodobanie mieć się zdawało. A pośród tych utworów zniszczenia, nad ktoremi niebo dészcz i mgłę rozpostarło, jak gdyby je przed jasném obliczem swojém zasłonić chciało, wkradały się chyłkiem łakomstwo i ciekawość, obdzierały i cieszyły się krwawym łupem swoim. Ten obraz spustoszenia oprawiony był w ramy płonących w około włości i w ruinę rozsypanych miasteczek. Czegoby ząb zniszczenia

w przeciągu lat dwiestu był nie dokonał, do tego dni dwa były aż nadto dostateczne!

Nazajutrz nagnano włościan i jeńców do pogrzebania trupów. Wykopano wielkie doły, w które nie raz po czterdziestu ludzi razem wrzucano. W trwożliwą ziemię wszczepiano jad wojny, któremu życie przytułku dać nie chciało; w jéj łono życie dające wtłaczano przemocą zaród zniszczenia. Już w oddaleniu widać było jak się lśniły trupy w długie, białe szeregi ułożone, jakby białe sznury pereł w około krwawego karku bitwy obwieszone!

We włości Gorbic stało kilku saskich wieśniaków. Ukończywszy kopanie szérokiego i głębokiego dołu, oparci na rydlach, odpoczywali po uciążliwéj pracy, podczas gdy drudzy, zajmując się znoszeniem trupów, i wszystkich, tak przyjacioł jak nieprzyjacioł, społem w jeden obszérny dół wrzucając, do przyjaznego w nim spoczynku zmuszali.

»A czyż temu końca nie będzie?« rzekł jeden stary włościanin, utkwiwszy z zachmurzoném czołem swój rydel w grunt iłowaty. »Jama ta już prawie zapełniona, a zawsze jeszcze nowy ładunek przybywa.« Wóz świeżo przybyły z obnażonymi trupami potwierdził jego uwagę. »Mój miły Boże!« westchnął starzec. »Sama młódź poginęła! Iluż tu nie postrzelano, nie porąbano i nie podeptano młodego kwiatu, z którego matki tam w domu każdą muszkę zganiały! Biédne matki, ile też łez nie wylejecie za waszymi synami; podobno więcéj, niżeli tu krwié przelano!«

»Zapomniéj o tém, kumie Bogumirze,« odezwał się do niego drugi włościanin. »Wiém ja dobrze, że ty myślisz o swoim synu, wesołym Wojciechu, który poległ pod Budyszynem, przezco się twoja stara na śmierć zagryzła. Teraz nié ma czasu myśléć o takich rzeczach. Ot, lepiéj pomóż mi powrzucać tych biédaków do dołu, a prędzéj ukończymy robotę.«

»Dobrze mówisz, kumie Macieju,« odrzekł starzec powiódłszy ręką po zmarszczoném czole. »No, weź tego pleczystego olbrzyma za ramiona, a ja go za nogi wezmę, bo go jeden z nas na żaden sposób nie udźwignie. Do stu katów! a to mi otyły dyląg, piersi szérokie jak u byka. Byłby on jeszcze nie jeden rok pożył na świecie. Ale działowa kula cały prawy bok na miazgę mu stłukła. Już się stoczył. Upadł ciężko jak kamień. Teraz pomóż mi i drugiego zdjąć z taczek... Biédaku, ciebie także nie źle poczęstowano. Pokłuty i pocięty na całém ciele; lewe ramię pełne ran ciężkich. Ależ u licha, cóżto ma znaczyć, mnie się zdaje, że ten człowiek, chociaż tak gęsto bagnetami pokłuty, jakby od pszczół był pokąsany, przecież jeszcze oddycha.«

»I mnie się tak zdaje,« odrzekł Maciéj. »Ale cóżto pomoże? Chociaż się w nim jeszcze jaka iskierka życia błąka, wkrótce jednak zagaśnie. Naco ma dłużéj ciérpiéć, wrzućmy go w imię boskie do drugich.«

»Nie, mój kumie, to się nie godzi,« odrzekł Bogumir z wzdrygnieniem. »Sciągnęlibyśmy wielki grzéch na głowę naszę. Człowiek ten jeszcze nie umarł; być może, iż go Bóg przy życiu zachować postanowił, a mybyśmy świętéj woli Jego się sprzeciwili. Poczekaj trochę; ja pójdę poszukać cérulika. Ale, otóż właśnie jeden z nich się wałęsa, jak gdyby nié miał nic do czynienia. He! *Mosje!*«

Chyrurg wojskowy, który się w poblizkości ukazał, usłyszawszy wezwanie to, zapytał obojętnie, czegoby żądano.

Starzec sądząc, że chyrurg jest Francuzem, starał się mu migami wytłumaczyć.

»Mówcie po niemiecku!« odrzekł chyrurg zniecierpliwiony. »Jestem Alzaczyk, zrozumiém was, tylko mówcie wyraźnie.«

»Oto pomiędzy temi trupami znaleźliśmy jednego jeszcze żyjącego człowieka,« odrzekli obadwaj włościanie.

»Żyjącego? ha, nié ma w tém nic dziwnego. Będzie to zapewne taki żyjący, który nie długo na tym świecie zabawi,« odezwał się chyrurg z obojętnością. Poczém zbliżywszy się i obejrzawszy rannego, rzekł ozięble: »Wrzućcie go do jamy, tu nié ma ratunku!«

»Ależ, mój panie, wszak on jeszcze oddycha!« odrzekł stary przerażony takim rozkazem.

»Ej, co tam? Mamże tutaj czas tracić, dla tego, że jeszcze kilka razy ziewnie. Powiadam wam wyraźnie, że tego człowieka uratować nie można. A zatém nie traćcie czasu na daremném gadaniu, tylko spieszcie się, by jak najprędzéj zasypać jamę.«

»Tego ja na żaden sposób nie uczynię,« odrzekł Bogumir z gniewem. »Mości chy-

rurgu! ja oskarzę wćpana, że nie dajesz pomocy i żywcem każesz grześć ludzi, którzy krew swoję za wasz naród przelali.«

»Ha, ha, ha!« roześmiał się chyrurg zażywszy tabaki. »Właśnie też na pobojowisku przełożeni mają czas słuchać skarg twoich. Mój poczciwcze, prostota twoja zasługuje, abym ci twoję groźbę przebaczył.«

»Ależ, mój mości panie doktorze,« odrzekł starzec, cokolwiek udobruchany. »Ja zastąpię wszelkie wydatki.« To rzekłszy rozpiął kaftan i pokazał trzos napełniony pieniądzmi. »Widzisz, że nie jestem bez grosza; chętnie wynagrodzę, tylko ratuj tego człowieka, panie doktorze.«

Przemowa ta sprawiła pomyślny skutek, twarz chyrurga wypogodziła się. »Zatrzymaj swoje pieniądze, mój poczciwcze; ja nie tylko rany, ale i kieszenie poległych opatruję, a zatém nie zbywa mi na pieniądzach. Ale gdybyś miał mięso i wino, témbyś mnie bardzo uraczył.«

»Panie doktorze,« rzekł włościanin, »lubo dom mój spłonął, przecież pod gruzami zachowała się piwnica, a tam znajdziemy na czém panu doktorowi zbywa, tylko pomóż mi pan dopełnić powinności chrześcijańskiéj!«

»No, mniejsza z tém! Zanieścież go do jakiego domu. Zobaczymy, co dla niego uczynić będzie można.«

4.

We trzy miesiące poźniéj przybrały całe Niemcy, a tém samém i Drezno inną postać. Pod Lipskiem złamała się potęga francuzk ego olbrzyma. Walcząc przeprawiły się przez Ren szczątki jego zastępów; Niemcy zostały oswobodzonemi. Zamiast Francuzów przeciągały teraz znowu przez ulice Drezna wojska rossyjskie.

Z posępnym, prawie rozpaczliwym wzrokiem stał na moście Elby przy arkadzie o jednéj ręce kaléka, i oparłszy prawe ramię o szczudło, z boleścią poglądał na przechodzącą ciżbę. Krysy i szramy tak dalece zeszpeciły twarz jego, że żadnéj właściwie nie widać było fizyjonomii; niktby nie mógł zgadnąć, czyto był starzec, czy młodzieniec; podobnież ze smukłéj, ale chudéj, nędznéj i pochylnéj postaci, niktby nie poznał był jego wieku. Tylko ogniste oczy, które z tych poszarpanych rysów twarzy, jak dwa błędne światełka z pod zapadłych gruzów błyskały, zdawały się jeszcze ożywiać ten stwór pokaleczony. Widać było, iż nieszczęśliwy człowiek ten przypatrywał się przechodzącym to niby z niejakiém otrętwieniem duszy, to znowu niby z jakąś czatującą uwagą. Lecz gdy po chwili weszły na most w żałobie dwie niewiasty, poskoczył z takim pędem od arkady, iż przez szczudło, które się mu z pod pachy wywinęło, omal że sam nie upadł. »Matko!... Helenko!« zawołał, »toż mnie już nie poznajecie? Wszakto ja jestem, wasz Fryderyk!«

Na to wezwanie obiedwie niewiasty wydawszy krzyk stłumiony, zatrzymały się. Matka z otwartemi ramiony pospieszyła naprzeciw swemu synowi i Helenka z wyrazem radości i zadziwienia zbliżyła się ku niemu. Ale zaledwo, że mu obiedwie spojrzały w oczy, już matka spuściła w dół ręce i razem z Helenką prawie ze wstrętem się cofnęła.

»Jako, nie poznajesz mnie? przypatrzcie mi się tylko dobrze. Matko! Helenko! przez Boga! Wszakżemto ja, wasz Fryderyk, nie kto inny!«

Niewiasty spojrzały na niego jeszcze raz z niedowierzaniem. »To nie Fryderyk,« szepnęła Helenka matce w ucho; »nic a nic nie ma on w swojéj twarzy, coby do niego podobném było, tylko jeden kolor oczu przypominałby go cokolwiek.«

»Nawet głos jego niepodobny do głosu mego syna,« odmruknęła matka i już odejść się zabiérała.

»Matko! Helenko! i wyż mnie nie poznajecie! O ja nieszczęśliwy!« jęknął kaléka. »Toć prawda, że głos mój innym jest teraz; bo gdym bezbronny i porąbany upadł twarzą na gorejące belki, w zaciekłym bolu nadgryzłem sobie języka. Tyle mi tylko jeszcze pozostało, że cokolwiek przebełknąć mogę; przeto głos mój jest szkaradnie teraz zmieniony, i nawet mnie samemu przykrym się być wydaje. Ależ matko moja, spodziéwam się przecie, że się nie wyprzesz swego Fryderyka!«

»Idź sobie od nas, ty nas chcesz oszukać!« odrzekła matka z gniewem. »Biedny mój syn poległ, niestety! na polu bitwy, i nie może

ci zadać kłamstwa; ale nie sądź, żeś na łatwowiernych trafił.«

»Tak jest, Frydéryk już nie żyje,« odezwała się z płaczem Helenka. »Ach! gdybyś ty nim był w istocie, od razubym cię poznała.«

»Przez miłość Boga! matka nie poznaje swojego syna, a oblubienica swojego narzeczonego! Więc przynajmniéj moje znamię macierzyste niech wam zaświadczy!« To rzekłszy, z pośpiechem chwycił prawą ręką za obwisły lewy rękaw; lecz opamiętawszy się, znowu go z rozpaczą puścił. — »O mój Boże!« rzekł z boleścią, »zapomniałem, że mi chyrurg odjął lewe ramię razem z tém nieszczęsném znamieniem, na którém się już była gangrena rzuciła. Już teraz i tym jedynym znakiem poświadczyć się nie mogę.«

Umilkł i z ponurą rozpaczą szukając nadaremnie w swojéj głowie dowodów, toczył obłąkanym wzrokiem w około siebie.

Obiedwie niewiasty mając go za oszukańca lub obłąkanego, chciały go opuścić, ale on zaklinając je to groźbą, to prośbami, zastępował im drogę.

»Jeżeli jesteś w rzeczy samej Frydérykiem,« rzekła z gniewem matka, »musisz więc miéć przy sobie jakiés listy lub papiéry, któremi to udowodnić możesz.«

»Listy! papiéry!« odrzekł z wściekłym uśmiéchem. Wszystkoto zaginęło na pobojowisku, a choćby nawet w kieszeni méj było pozostało, usłużni, którzy mnie jak nieżywego ze wszystkiego obnażyli, nie mieli czasu zajmować się mojemi papiérami.«

»A więc żałuję mocno, że w téj mierze poradzić ci nie mogę,« odrzekła matka przerywając mu mowę. Idź sobie z panem Bogiem i nie zastępuj nam drogi!«

»Ach, idźcie, idźcie dokąd się wam podoba!« odrzekł nieszczęśliwy Frydéryk stłumionym głosem. »Już was dłużéj zatrzymywać nie będę.«

Gdy to wyrzekł, niewiasty poszły. Helenka z politowaniem obejrzała się trzykrotnie za obłąkanym. W niejakiém oddaleniu stanąwszy, zaczęły na niego uważać. Frydéryk podniósłszy zwolna szczudło, z ponurym wzrokiem stanął znowu w tém samém miejscu. Przechodzący omijali go z daleka, gdyż obłąkany wzrok jego wszystkich przerażał. Nawet jeźdźce i wozy ustępowali się z drogi temu osobliwszemu człowiekowi, który oparłszy się na szczudle, w pośród mostu stał jak posąg z kamienia.

»Nié ma się czemu dziwić, że mnie nie poznają,« mruczał do siebie. »Ja jestem straszydłem bez ciała, bez nazwiska, trupem, którego pogrześć zapomniano, na którym zniszczenie tak szkaradne i nieczytelne popisało wyrazy, że mnie już nawet matka i narzeczona poznać nie mogą. Wypada mi więc uczynić to, com już dawno uczynić był powinien, a wtedy skończą się wszelkie moje cierpienia. Szczęściem, że mi jeszcze przynajmniéj strzelba z bojowiska pozostała. Proch mam także przy sobie, a kuli niekoniecznie potrzeba.

To rzekłszy z mocném postanowieniem ruszył się z miejsca i pokulał w rozpaczy. Aż oto słyszy, że za nim coś zadyszałe goni i nim się zdołał obejrzéć, już mu z tyłu na kark tak mocno wskoczyło, że jak długi upadł na ziemię.

»Do wszystkich diabłów!« zawołał Frydéryk zgrzytnąwszy zębami, i już się zabrał do obrony. Ale spojrzawszy po za siebie, natychmiast opłonął z gniewu, a w rozpaczającém oku jego łagodność zajaśniała. »Co widzę, tyżeśto Karo?« wykrzyknął śród radości i płaczu. »Tyżeśto, poczciwe, szlachetne zwiérzę? ty nie wstydzisz się kaleki, nie wyrzékasz się zeszpeconego nędzarza, którego się własna matka wyparła!«

Podczas gdy Frydéryk tak narzékał, Karo skomląc i szczekając z radości wił się około biédnego kaléki i z ziemi mu wstać nie dawał. Nareszcie uspokoiwszy go cokolwiek, podniósł się Frydéryk i stanął przy poręczy, która go od natarczywych pieszczot wiernego psa, przynajmniéj z jednéj strony zasłaniała.

»Ach, przez Boga! to przecież jest Frydéryk, mój syn ukochany!« rzekła matka, która w niejakiém oddaleniu była świadkiem tego wypadku, a teraz spiesznym krokiem ku niemu pobiegła. »Synu mój, biédny mój synu! przebacz mi to zapoznanie!« zawołała rzuciwszy się z płaczem Frydérykowi na szyję.

Tuż za nią przybiegła i Helenka. »Tak, tak, tyśto Frydéryku! poznaję cię po twojém błękitném oku. Przebacz, żem cię piérwéj po niém nie poznała!«

»Helenko! w jakimżeto mnie widzisz stanie? jestem kaléką!« wyjąknął Frydéryk przejęty radością i udręczeniem; »ogień i miecz zrobiły z ciała mego maszkarę. Jestem szkaradny. Helenko! szukaj sobie innego oblubieńca; palcem wskazywanoby na mnie, gdybym został twoim mężem.«

»O nie, kochany mój Frydéryku, ty będziesz, ty musisz zostać moim. Ja ciebie nie opuszczę!« odrzekła ze stałością Helenka i serdecznie przycisnęła go do swego serca. »Rany twoje są zaszczytem dla ciebie, one świadczą, żeś był mężnym, walecznym.«

»Walecznym!« odrzekł Frydéryk z gorzkim uśmiéchem, »niestety! oprócz ran, nié mam innego świadka. Nieszczęsne przeznaczenie chciało, aby tylko blizny i kalectwo o mojéj waleczności świadczyły. U nóg moich poległ sierżant Etienne, który walcząc przy moim boku widział, jakem gromił nieprzyjaciela. Nikt teraz nie wié, że ja byłem jednym z tych trzech, którzy z Pirnawskiego szańcu nieprzyjaciela wyparli. Na niczém spełzły dumne moje nadzieje, zniknęła urojona marszałkowska buława, z dymem poszedł krzyż legii honorowéj, wraz z tytułem książęcym. Nawet znamię przyszłéj

wielkości, które przeznaczenie na ramieniu mojém wycisnęło, odjęto od mego ciała; strawiony zgniłą gorączką umarł poczciwy włościanin, który od śmierci mnie wybawił; przy skonaniu dał mi do rąk swój grosz zapracowany, abym z głodu nie zginął. Teraz nic już nié mam na świecie! Dla tego umrzéć wypada!«

»Ależ przecie masz jeszcze mnie, mój synu,« odrzekła z żalem matka, »i masz twoję wierną Helenkę, która dla odszukania cię nie wahała się w tak daleką ze mną puścić się drogę.«

Fryderyk podniósł głowę i zobaczył pochyloną, płaczącą matkę, zobaczył łzawe ku niemu obrócone oko Helenki, usłyszał skomlenie psa, podobnie jak w owéj chwili, gdy się niegdyś z Helenką miał rozstawać, a na ten widok puściły się mu z oczu łzy rzewne. Po niejakim czasie westchnąwszy głęboko, rzekł stłumionym głosem; »Kiedy taka jest wola wasza, weźcież mnie takim, jakim jestem! Odtąd już do was należę!«

To rzekłszy przycisnął matkę i narzeczonę mocno do serca swego, a poczciwy Karo, jakby dla ukończenia obrazu szczekając z radości wsparł się na grupie trojga uszczęśliwionych ludzi.

ZE LWOWA.

Nakładem Kajetana Jabłońskiego, drukiem Józefa Schnajdera, opuścił prasę tom piérwszy: *Pieśni ludu ruskiego w Galicyi*, zebranych przez Żegotę Paulego, który także tom drugi pieśni ruskich zapowiada, a nie dawno polskiemi przysłużył się miłośnikom gminnej poezyi. Niniejszy zbiorek obejmujący 177 stronic jest szczególnie ważnym w swojéj historycznej części.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego Ad. Kasperowskiego wyszedł Nr. 22. i obejmuje: 1) O uprawie lnu (ciąg dalszy). 2) O kwiatach gruntowych (ciąg dalszy). 3) Jarzębina przeciw puchlinie. 4) Sposoby do najlepszej sprzedaży wełny. 5) O marnowaniu popiołów. 6) Knoty do świec poprawne. 7) Mydło pani Derby. 8) Aby twarde mięso prędko ugotowało się.

Donoszą z Petersburga, że pan Karol Lipiński dawał tamże pierwszy koncert d. 24. kwietnia. »Tygodnik petersburski« z d. 2/14. maja tak się między innemi o tym koncercie wyraża: »Tą razą wybor sztuk, piękności bardziéj popularnej, nie mało przyłożył się do podniesienia efektu jenialnéj gry nieocenionego artysty.«

W Warszawie wyszły: *Bajki i przypowieści* L. E. Rajszla.

W Wilnie Stanisław Müller zapowiedział: *Pan-Lexicon, czyli słownik powszechny francuzko-polski*, zawiérający w sobie wszystkie znajome dotąd wyrazy i sposoby mówienia francuzkie oddane polskiemi, lub objaśnione. Dzieło całe ma się składać najmniej z 120 arkuszy druku, a tom piérwszy od litery *A* do *H* wyjdzie najdalej na początku 1840. Tamże gorliwy wydawca »Obrazu bibliograficzno-historycznego literatury polskiéj,« Józef Zawadzki, ogłosił drugie poprawne i pomnożone wydanie *Słownika łacińsko-polskiego*, ułożonego przez X. Floryjana Bobrowskiego.

Z Poznania. Znany i szanowany powszechnie Antoni Wroniecki, były jenerał brygady, zmarły dnia 4. grudnia r. z. w 48. roku życia, był autorem kilku dzieł strategicznych, z których najnowsze wydane roku 1834, ma tytuł: *Sprawa piesza według naszego czasu*, z godłem Napoleona: *L'infanterie est le nerf de l'armée.*

P. Lewestan w Berlinie wyda wkrótce u Schlesingera: »*Klechdy* Wojcickiego« w tłumaczeniu niemieckiém, pod napisem: *Reussische Mährchen und Erzählungen.*

Panna Rachel. Od czasu jak panna Rachel wystąpiwszy w *Théatre-français* zwróciła na siebie uwagę publiczności, zaczęły osoby znakomite zapraszać ją do siebie na wieczory. I tak księżny i hrabiny poczytują sobie teraz za zaszczyt, jeżeli na ich naleganie odwidzi ich dziewczyna, któréj niegdyś jako żebraczce na ulicy po kilka *sous* dawały; albowiem nie tylko, że ją teraz u siebie jak najmiléj przyjmują, ale nawet drogiemi podarunkami obsypują. Lecz miłośnicy teatralnego umnictwa są tego zdania, iż to będzie zgubą dla téj młodej aktorki, która zamiast oszczędzania swojego zdrowia i ćwiczenia się w swoim kunszcie, odwidzając każdego wieczora jedno towarzystwo po drugiém, marnuje czas i niszczy zdrowie swoje. Utrzymują oni, iż to łakomstwo rodziców panny Rachel jest właciwie przyczyną, dla któréj biedna dziéwczyna ta uczęszcza na podobne wieczory. Jakoż rzeczą jest niezawodną, że sposób życia na wielkim świecie, zwłaszcza jeżeli się w nałóg zamieni, nie jest wcale właściwym do ukształcenia artystki; chyba tylko tyle, iż przezto nabędzie przyzwoitego sposobu zachowania się w towarzystwie; czego wprzódy żebrząc i włócząc się po ulicach, na żaden sposób nabyć nie mogła. Powiadają, iż aktor Samson, który w ukształceniu téj młodej artystki wielkie położył zasługi, i dla którego ona dotychczas okazywała się być bardzo wdzięczną, tak dalece się tem jéj roztargnieniem oburzył, iż pochwyciwszy jéj popiersie, które teraz w każdym galanteryjnym sklepie jest do sprzedania, cisnął niem w jéj obecności o ziemię, i na drobne roztłukł kawałki. Na co panna Rachel rzewnie się rozpłakała. Samson spodziewał się, iż ona przez ustawiczne ćwiczenie, stanie na najwyższym szczycie sztuki traicznéj, i gniewa go to, gdy pomyśli, iż panna Rachel zamiast doskonalić się ciągle w swoim zawodzie, odwidza zgromadzenia, i upojona ich pochwałami, swój wysoki cel zaniedbuje. Szczęściem dla niéj, że jeszcze młoda, a przeto stracony czas przez pracę wynagrodzić może. Obawiają się tylko, aby rodzice jéj przyszedłszy nagle do dobrego mienia z ubóstwa, nie starali się ile możności korzystać z obecnego szczęścia swéj córki, nie troszcząc się bynajmniéj o ukształcenie jéj na przyszłość.

Piękna Fornaryna. Niektóre tylko poszlaki zostawiła nam przeszłość o sławnej kochance Rafała, jakkolwiek cudna ta piękność wielki wpływ miała na serce i jeniusz tego książęcia malarzy. Przytem poszlaki te są tak dalece pozbawione wszelkiego związku, że nie można powziąć dokładnego wyobrażenia o życiu téj młodéj dziewczyny, którąby właściwie obok Laury Petrarki i Beatryki Dantego umieścić należało. Doniesienie o życiu Fornaryny przechowały nam tylko podania, które jeszcze po dziś dzień są w ustach rzymskiego ludu. Właściwe jéj nazwisko jest zupełnie niewiadome, bo *fornaria* jest słowo zdrobniałe, oznaczające piekareczkę, a pochodzące od *fornaja* (piekarka); jednakże mały, stary domek, stojący przy moście blizko wnijścia w ulicą Balbi, w którym się kram piekarski znajduje, jeszcze się dotychczas *Casa fornarina* nazywa. Włoskie słowa te, wyryte na małéj marmurowéj tablicy wmurowanéj w ten domek poświadczają, że takowy niegdyś przez kochankę Rafała był zbudowany. Domek ten stoi przy odludnéj, oddalonéj ulicy, w dzielnicy Rzymu, która najmniej jest odwidzaną. Podróżni zwidzający pomniki i starożytności

téj odwiecznéj stolicy, rzadko zapędzają się aż do tej zapomnianej ruiny. Niektórzy nie wiedzą nawet, że istnieje, i tylko niekiedy zdarzy się tam widzieć poważnego i zamyślonego wędrowca, który przejęty uwielbieniem tego wielkiego włoskiego mistrza z uszanowaniem owo miejsce odwidza. W témto miejscu Rafał Sancio di Urbino 1508 roku, chodząc do pałacu zamożnego bankiera Agostini Chigi, dla przyozdobienia swojemi utworami jego familijnéj kaplicy, ujrzał po raz piérwszy Fornarynę, która w ojcowskim kramie bułki sprzedawała. W tém miejscu mimo uprzejme napomnienie swojego dobroczyńcy, zapomniał o rozpoczętych freskach i ułożonych skicach; a ranne odwidziny jego w tym kramie były tak częste i tak długo trwające, iż stały się wielką przeszkodą do wykonania przedsięwziętego dzieła. Ale ponieważ bogaty bankier życzył sobie, aby młody artysta jak najprędzéj ukończył spaniałe swe zarysy, zaprosił więc, celem zwabienia zbiega, młodą córkę piekarza do swojego pałacu. Piękna dziewica skłoniła się do jego prośby, a młody rozkochany mistrz pracował znowu z zapałem nad swemi dziełami. Od tego czasu została Fornaryna aż do zgonu Rafała jego nieodstępną towarzyszką; od tego czasu Rafał nie mógł już żyć bez niéj, a gdy sławne watykańskie loże malował, wziął ją z sobą nawet do papiézkiego pałacu. Papieżowi zdawała się być zgorszeniem ta ustawiczna obecność kochanki Rafała; albowiem każdą razą, gdy odwidzał tego mistrza w celu przypatrzenia się nowym zarysom, albo postępom jego pracy, niemiło mu było, iż zawsze zastawał u niego Fornarynę. Niesłusznie złorzeczy świat pamięci Fornaryny, utrzymując, jakoby ona jedyną była przyczyną, że Rafał w kwiecie swojego wieku i umnictwa do grobu wstąpił. I owszem ustne podanie głosi, że zbyteczna praca wycieńczyła siły tego mistrza i pozbawiła świat wszystkich owych spaniałych utworów, jakich po urbińskim malarzu jeszcze na przyszłość się spodziéwano. Pewnego dnia, gdy przyszedł zupełnie wysilony do domu, wpadł w niebezpieczną gorączkę, któréj przyczyny nie odkrył nikomu; chociaż lekarz krwié puszczeniem uratować się go starał, jednakże stan zdrowia jego coraz się bardziéj pogorszał. Czując się być blizkim śmierci, żądał, aby oddalono jego kochankę, jednakże zapewnił jéj przyzwoite utrzymanie na przyszłość. Nad zgonem jego ubolewano powszechnie, sam nawet papież Leo X. opłakiwał stratę malarza lóż. Ze śmiercią Rafała niknie wszelka historyczna, a nawet tradycyjna poszlaka o losie Fornaryny. Podług panującego podania w Rzymie miała ona poźniej przebywać u Juliusza Romano, ucznia i ulubieńca Rafała; zdaje się, iż podobieństwo, jakie się znajduje w postaciach niewiast tego mistrza, a jego ucznia, dało powód do tego domysłu. Atoli podobieństwo to znajdujemy nie tylko w dziełach rzeczonego mistrza, ale nawet w dziełach wszystkich artystów, którzy do szkoły Rafała należeli; jestto tylko dowodem, że ten mistrz swoim wzorem wielki wpływ na swych uczniów wywiérał. Jakoż wpływ ten jest bardzo naturalny i sławie tych uczniów bynajmniej nie uwłaczający. Tylko nie należy go brać za niewolnicze naśladowanie, które niczém innem nie jest jak kradzieżą. Rafał wskazywał swoim uczniom jedne i za doskonałę uznaną drogę, i z tego powodu w wielu galeryjach widzimy tak wiele wizerunków niewieścich, z których każdy za Fornarynę uchodzi. Tym sposobem przez miłość wielkiego mistrza, skromna i uboga dziewczyna została nieśmiertelną; osobliwsze dziwactwo losu, które przyozdobiwszy mury, pałace i kościoły wizerunkiem bezimiennéj, z nizkiéj klasy ludu pochodzącej dziewicy, uczyniło ją rozkoszą oczu dla królów, książąt i papieżów, a uwielbieniem dla miłośników, znawców i artystów! Ileżto wysoko urodzonych piękności nie życzyłoby sobie podzielać los ubogiej Fornaryny, która przez Rafała odmalowaną i wszelkim następnym wiekom przekazaną została? Jestto dowodem, że tylko potęga pięknego umnictwa jest nieśmiertelną!

Akademije tureckie. Wielki sułtan rozkrzewia coraz bardziéj cywilizacyję w swoim kraju, a najlepszą rzeczą jest to, że na powierzchném ukształceniu nie poprzestaje. Będąc przeświadczonym, że dla wychowania wzrastającego plemienia stosownie do swoich zamiarów, przede wszystkiém gruntowna nauka jest potrzebną, siedm szkół założyć postanowił i nadał im dumną nazwę akademij, w których oprócz innych umiejętności, najszczególniéj nauka matematyki, fizyki i chemii wykładaną będzie. Naukowe te instytuty założone będą uprzednio w siedmiu miastach, jakoto: w Konstantynopolu, Adryjanopolu, w Solonice, Brussie, Smyrnie, Bagdadzie i Trebizondzie. Przedmioty wykładane będą częścią w francuzkim, a częścią w tureckim języku; a to z powodu nauczycieli, których z Francyi i Niemiec sprowadzić zamyślano, a po których spodziéwać się nie można, aby w krótkim czasie tureckim językiem wysłowić się umieli. Jakoż paryzka akademija jest już wezwana, aby kilku młodych ludzi za profesorów dla tych nowych instytutów zaleciła. W akademijach w Konstantynopolu, Smyrnie i Solonice dawane będą w język ufrancuzkim gramatyka, jeografija i historyja zupełnie na sposób europejski. Profesorom zapewniono stałą, dość znaczną płacę i pensyję dożywotnią za oddaleniem się z ich posady.

Wymiana policzków. Sąd karnéj policyi w Paryżu przymuszony był nie dawno roztrzygnąć następującą komiczną sprawę: Z końcem upłynionego roku skazano pewnego jegomości, który niejakiemu panu Grison wyciął policzek, na jedno-miesięczne więzienie, złożenie kary pieniężnej 200 franków, i zapłacenie obrażonemu 2000 franków, jako wynagrodzenie. Niejaki p. Bernard, który przy ogłoszeniu tego wyroku był obecnym, odezwał się w ten sposób: »Tą kwotą nie trudno będzie panu Grison uleczyć swój policzek.« Pan Grison obok stojący, uraża się temi wyrazy, i nie namyślając się długo, odwija się do pana Bernard i wlepia mu dwa tęgie policzki. P. Bernard nic mu na to nie odpowiada, tylko swego przeciwnika przed sąd karnéj policyi zapozywa, żądając, aby mu także samę jak panu Grisonowi wymierzono sprawiedliwość, co też istotnie nastąpiło. — Dzienniki nie donoszą wprawdzie, ażali sąd panu Bernard w nagrodę obrażonego honoru 4000, lub tylko 2000 franków przyznał.

*

Sprostowanie omyłek zaszłych w Dodatku nadzwyczajnym do Rozmaitości Lwowskich Nru. 20. r. b. w tablicach dostrzeżeń meteorologicznych.

W tablicy I. (Barometr.) W lutym: wysokość najmniejsza (barometru) nie 27."564, *lecz* 26,"504. — *W lipcu: największa odmiana (barometru) w przeciągu 24 godzin nie* 0."334, *lecz* 0,"384. — *W r. cywil.* 1838: *największa wysokość (barometru) nie* 27,"886, *lecz* 27,"010, *a zatém taż wysokość i w miarze wied. nie* 28"7'"10', *lecz* 28"8'"3'. *Także w r. cywil.* 1838: *największa odmiana w miesiącu (barometru) nie* 1,"410, *lecz* 1,"440, *a zatém taż odmianą w miarze wied. nie* 1"5'"4', *lecz* 1"5'"9'.

W tablicy III. Zamiast napisu nad tąż tablicą: »Psychrometr w stopniach Reaumura«, powinien być napis: »Prężność pary w atmosferze będącéj w linijach paryzkich wyrażonaą, a zatem w całej téj tablicy, zamiast znaków 0, *powinny być znaki* ''', *to jest nie stopnie, lecz linije.*

W tablicy IV. (Ombrometr.) Wysokość wody z deszczu lub śniegu uczyniła w zimie nie 5,"077, *lecz* 3,"077.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*